

UCZNIOWIE HIPPOKRATESA

AŁBENA GRABOWSKA

DOKTOR BOGUMIŁ

MARGINESY



AUTORKA STULECIA WINNYCH
MATEK I CÓREK

Horace Wells

1815–1848

Horace Wells siedział jak na rozżarzonych węglach. Po stokroć żałował, że uległ prośbom żony i dał się namówić na wyjście do cyrku. Nie bawiły go ani tańczące karły, ani kobieta guma. Nie podobały mu się amazonki jeżdżące na koniach na oklep, skaczące pieski ani lew, stary i ledwie żywy. Wszystkiemu towarzyszyły głośna muzyka i okrzyki, nierzadko wulgarne. Nie, stanowczo nie była to odpowiednia rozrywka dla młodego, ale bardzo szanowanego dentysty.

– Może moglibyśmy już pójść, moja droga? – spytał, patrząc na młodą parę akrobatów wykonujących niebezpieczne ewolucje tuż pod kopułą namiotu. Wells był przekonany, że upadek i śmierć przez zgruchotanie kości były tu jedynie kwestią czasu. Stanowczo nie życzył sobie być tego świadkiem.

– Ależ nie, nie, nie, mój mężu. – Elizabeth najwyraźniej świetnie się bawiła i nie dzieliła z nim wrażeń. – W Hartford nie ma żadnych rozrywek. Czyż nie było ekscytujące, kiedy tamten dżentelmen rozmawiał z małpką?

– To nie był dżentelmen... – uściślił Wells. – I małpy nie mówią. To on jakimś sposobem wydobywał dźwięk, nie ruszając ustami, a ja...

Żona nie pozwoliła mu dokończyć.

– Chcę zobaczyć zapowiadany pokaz. Ty też powinienes. To ma być coś niezwykłego!

Wells westchnął. „Brzuchomówca był jeszcze gorszy niż kobieta z brodą i dwumetrowy albinos. Strach pomyśleć, na czym będzie polegał ów zachwalany występ. Pewnie pokażą pół kobietę, pół mężczyznę albo skrzyżowanie psa z koniem”, pomyślał Horace i zacisnął zęby. Tymczasem na arenę wyszedł sam dyrektor cyrku. Publiczność powitała go aplauzem.

– Ostatni i najbardziej ekscytujący pokaz tego wieczoru! – krzyczał wśród braw. – Eksperyment z udziałem publiczności! Zapraszam odważnych!

Ludzie patrzyli na siebie, czekając na śmiałka, który odważy się wyjść pierwszy. Wells zauważył z satysfakcją, że na razie nikt się nie kwapił.

– Nie będziecie żałować, panowie! – zachęcał niezrażony dyrektor. – Doznania lepsze niż w alkowie!

Elizabeth spojrzała prosząco. Horace zgromił żonę wzrokiem i skrzywił się z niesmakiem. Nie zamierzał robić z siebie błazna. Był zresztą przekonany, że nikt z socjety nie zdecyduje się odpowiedzieć na tak bezczelny apel. Oglądanie wybryków natury to jedno, a poddawanie się nieznanemu, na dodatek wśród aplauzu gawiedzi – drugie.

Ku jego zdumieniu nagle z miejsca wstał William Scott, miejscowy aptekarz, człowiek pragmatyczny i sztywny, jakby kij połknął, a zaraz za nim sąsiad Wellsów – Leopold Ferry, który prowadził praktykę adwokacką w Hartford. Następnie dziarskim krokiem weszli na podest handlarz Duncan Updike i Larry Thiegan, który pomagał Horace'owi w jego praktyce stomatologicznej, wyrabiając mosty i protezy zębowe.

– Czyż to nie ekscytujące? – spytała Elizabeth.

– Doznania lepsze niż w alkowie, co za wstyd... – szepnął do siebie Horace.

Z niedowierzaniem patrzył, jak Leopold Ferry wdycha nieznanemu mu gaz, a po nim robią to kolejni uczestnicy eksperymentu.

– Tacy odważni... – zauważyła Elizabeth.

Horace nie odpowiedział. Tymczasem na arenie działo się coś nie tyle niezwykłego, ile absolutnie dziwnego. Mężczyźni zaczęli się poklepywać po plecach i opowiadać sobie jakieś żarty, co chwila wybuchając głośnym śmiechem. Pierwszy zatańczył William Scott, a orkiestra cyrkowa przygrywała mu z przytupem. Po nim w tany ruszył Leopold, a już po chwili cała czwórka wirowała po scenie, rozbawiona i pozbawiona wszelkich oznak dostojęstwa. Wells zwrócił się do żony:

– To ci się podoba, moja droga? Chciałabyś mnie tam widzieć podskakującego jak kozioł, śmiejącego się jak osioł i gadającego jak tamta małpa?

– Przed chwilą twierdziłeś, że małpa nie gada – odparła Elizabeth.

Uwagę Horace'a znowu przykuli mężczyźni na arenie. Duncan Updike tak się zapędził w szalonym tańcu, że zawadził nogą o gwóźdź wystający z jednej z desek. Jego spodnie rozdarły się nad kostką, skóra została dość głęboko przecięta, a z rany spływała krew. Mężczyzna jednak nawet na chwilę nie przerwał tańca ani też nie przestał się głośno śmiać.

– On tego nie czuje... – powiedział Horace i się zadumał. – Jak to możliwe?

Działanie substancji, pod wpływem której znaleźli się czterej dżentelmeni, powoli ustępowało. Orkiestra przestała przygrywać, zziębnięci mężczyźni przysiedli na pokrytej trocinami arenie.

– Miałeś rację, mój drogi – stwierdziła Elizabeth. – To akurat nie było nic aż tak ekscytującego.

– Przeciwnie, moja droga, przeciwnie – wyszeptał podniecony Horace. – Dziękuję ci, że mnie tu przyprowadziłaś. Ten dzień zmieni nasze życie...

Kobieta uniosła brwi ze zdumienia.

– A cóż to za nagła odmiana? Ja jestem zawiedziona. Tańczący mężczyźni nie są w moim guście. Wolę patrzeć na ptaki wyfruujące z kapelusza i wstążki zamieniane w kwiaty.

– Kwiaty z wstążek to nic – odparł Horace Wells i wskazał palcem Updike’a. – Ważniejsze jest to, że on nie czuje bólu. A ja sądzę, że stoję u progu wielkiego odkrycia.

Elizabeth spojrzała we wskazanym kierunku. Żona Duncana właśnie usiłowała go wyprowadzić z namiotu cyrkowego, a on opierał się, chichocząc i klepiąc się po udach. Leopold Ferry również był dziwacznie podekscytowany, a własną małżonkę, zarumienioną ze wstydu, obejmował i całował w policzki, aż Elizabeth opuściła wzrok.

– On wciąż krwawi – powiedziała, wskazując na Updike’a. – Czy nie powinienes mu pomóc?

– Właśnie, moja droga! – wykrzyknął. – Właśnie! On krwawi i tego nie czuje! Czy ty rozumiesz, co ja do ciebie mówię?!

Po czym zostawił zdumioną Elizabeth, a sam podbiegł do Duncana i pod pretekstem opatrzenia rany upewnił się, że handlarz wciąż nie zdaje sobie sprawy ze zranienia. Następnie udał się do dyrektora cyrku.

– Nazywam się Horace Wells – przedstawił się. – Byłem właśnie świadkiem tego ekscytującego pokazu! Nie mogę dojść do siebie!

Dyrektor uśmiechnął się uprzejmie.

– Szkoda, że szanowny pan nie skorzystał z możliwości i sam nie poddał się dobrodziejstwu gazu rozweselającego. Trochę szczęścia w dzisiejszym świecie, nawet sztucznie uzyskanego, jest... – zaczął, ale Wells mu przerwał.

– Czy mógłbym prosić, aby przybył pan do mnie jutro, do gabinetu dentystrycznego, który prowadzę? Głęboko wierzę, że pański gaz rozweselający pomoże w mojej codziennej praktyce dentystrycznej.

Uzyskawszy zgodę nieco zaskoczonego właściciela cyrku, udał się do domu, popędzając przy tym biedną Elizabeth. Zaraz za progiem zostawił niezadowoloną żonę, wymówił się od kolacji, co nie zdarzyło mu się od czasów kawalerskich, i czym prędzej poszedł porozmawiać ze swoim asystentem.

– Henry, czy rozumiesz, czym jest to odkrycie? – spytał, gdy już wyrwał go z partyjki brydża i wyjaśnił w czym rzecz.

– Chcesz powiedzieć, że to środek, który pozwoli nam pozbyć się bólu u pacjentów? To jest niemożliwe... – powątpiewał Henry Bind.

– Widziałem na własne oczy, jak Duncan Updike rozciął sobie nogę i nic nie poczuł. Przeciwnie, tańczył niczym pajac i głośno się śmiał. Jeszcze długo po tym, jak zszedł ze sceny, wydawał się nie odczuwać żadnych dolegliwości! – Na twarzy Horace’a było widać ekscytację.

Bind pogładził się po brodzie.

– A jeśli ten specyfik nie jest bezpieczny?

– W cyrkach stosuje się go ku uciesze gawiedzi od lat...

Asystent zastanowił się przez chwilę.

– Mówiłeś, że Duncan tańczył i nie słuchał, co się do niego mówiło. Jak zatem pacjent poddany działaniu gazu rozweselającego zasiądzie w fotelu dentystycznym i pozwoli sobie usunąć trzonowiec?

Na to Horace nie miał gotowej odpowiedzi, ale nie mógł pozwolić, żeby sceptycyzm Henry’ego przesłonił mu radość z poczynionych właśnie obserwacji.

– Przywiążemy go do fotela, zanim podamy gaz.

Bind pokiwał głową w zadumie.

– Trzeba będzie zrobić serię eksperymentów... Podtlenek azotu... Czy podany w nadmiarze nie uśmierci pacjenta?

– Nie – zaprzeczył Wells niepewnie. – Jedyne uśpi. Chociaż kto wie...



Aula kliniki w Bostonie była wypełniona po brzegi. Lekarze, studenci oraz zwykli obywatele pragnęli przekonać się na własne oczy, czy doniesienia o rewolucyjnej metodzie ekstrakcji zęba, która miała przebiegać bez bólu, są prawdziwe. Był luty tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku, jedenaście miesięcy po pamiętnej wizycie Wellsa w cyrku.

– A zatem... – zaczął nieco nieśmiało Horace stojący na środku audytorium. – Chciałbym państwu przedstawić moje odkrycie poparte licznymi badaniami, eksperymentami i...

– Dalej! – rozległo się z widowni, po czym do Wellsa dobiegł gromki śmiech.

Przełknął ślinę, starając się bezskutecznie opanować zdenerwowanie. Ręce mu drżały. Dziś nie wdychał gazu, gdyż bał się, że nie będzie miał jasnego umysłu i nie zdoła poprowadzić pokazu. Przez prawie rok przeprowadzał eksperymenty z podtlenkiem azotu i innymi gazami, aż pozwolono mu przedstawić wielkie odkrycie. Tak wiele zależało od dzisiejszej prezentacji. Przywołał w pamięci pierwsze próby znieczulenia, wykonywane wyłącznie na sobie, szukanie odpowiedniej dawki podtlenku azotu, utraty przytomności, wrywanie własnych zębów, skoro nie miał ochotników. Nie pamiętał, kiedy pojawiły się majaki na jawie, głód wdychania gazu, potworny lęk, z którym zasypiał, i jeszcze większy budzący go o świecie. Wreszcie jego poświęcenie zostało nagrodzone i wraz z Bindem wykonali pierwszą udaną bezbolesną ekstrakcję zęba u pracownika kolei Jima Higgsa, a potem kolejną i jeszcze jedną. Sława Wellsa w Hartford rosła, zjeżdżali do niego mieszkańcy okolicznych miast, aż przyszedł czas na Boston i klinikę J.C. Warrena. Był tak blisko spełnienia marzeń. Musiał tylko po nie sięgnąć.

– Zademonstruję, jak przy zastosowaniu pewnego rodzaju gazu można bezboleśnie usunąć ząb... – powiedział nieco pewniejszym głosem. – Czy znajdzie się ochotnik? Płacę dobrze i gwarantuję zadowolenie.

Tym razem śmiechów było mniej.

– Zapłacę! – zachęcał Wells. – Ćwierć dolara za ząb!

Z nadzieją wodził wzrokiem po licznie zgromadzonych w sali, aż wreszcie usłyszał upragnione słowa:

– Ja się zgłaszam!

Mężczyzna, który podszedł do przygotowanego stanowiska pokazowego, był brzydki, otyły, wionęło od niego alkoholem i tytoniem, ale Wellsowi wydawał się piękny niczym anioł. Wskazał mu fotel dentystryczny, a kiedy ten usiadł, polecił mu otworzyć usta.

– Najpierw obejrzę ząb, który mam usunąć – powiedział, starając się nie wzdrygnąć, gdy dotarł do niego smród przetrawionego samogonu, taniego tytoniu i zepsutych zębów. – Od kiedy pana boli?

– Rwij pan, nie gadaj, bo się rozmyślę – burknął grubas.

Wells przytroczył go do fotela skórzanym pasem, ignorując po naglenia widowni. Potem podał mu podtlenek azotu. Wzrok grubasa na chwilę się zamglił, ale mężczyzna nie zasnął. Wells ponownie podał mu gaz do wdychania, ale i to nie spowodowało utraty świadomości.

– Rwij! – krzyknął ktoś z górnych siedzeń.

– Mamy tu czekać cały dzień? – rozległo się z innego miejsca.

Wells założył specjalną konstrukcję na dziąsło pacjenta, aby ten nie zacisnął zębów podczas zabiegu i tym samym nie uniemożliwił mu pracy. Uspokoił się nieco, bo mężczyzna w żaden sposób nie okazał, że jest to bolesne. Horace wziął do ręki kleszcze i zmówiwszy krótką modlitwę, włożył je do ust pacjenta. Zacisnął kleszcze na trzonowcu i spróbował go podważyć. Robił to tyle razy.

– Aaaaa! – wrzasnął nagle pacjent.

Horace pospieszył, żeby dodać kolejną dawkę gazu znieczulającego, a tymczasem mężczyzna szarpał się i wyklinał go najgorszymi słowami. Na widowni rozległy się gwizdy. Wells jakimś cudem zdołał ponownie wsunąć kleszcze do ust grubasa i zacisnąć je na chorym zębie. „Boże wszechmogący, proszę, walcząc z wrzeszczącym i szarpiącym się chorym, pomóż mi. Czy bostońscy pacjenci tak bardzo różnią się od tych z Hartford? Dlaczego nie udało mi się znieczulić tego człowieka?”

Kiedy wyjął z ust chorego zgorzelinowy ząb, był mokry od potu. Triumfalnie uniósł go do góry i rozejrzał się po zgromadzonych. Śmiech jednak nie milkł, podobnie jak gwizdy i krzyki.

– Oszust! Hochsztapler!

Mężczyzna, któremu Wells właśnie usunął przegniły trzonowiec, pluł krwią, złorzeczył i krzyczał z bólu, trzymając się za policzek. Między palcami spływała mu krew pomieszana ze śliną.

– Wyrwał mi kość! – wrzeszczał. – Konował! Zwykły kowal zrobiłby to lepiej!

– Oszust! – wyła widownia. – Szuler!

– Zapłać, oszuście! – krzyczał mężczyzna. – Wódki! Jak bardzo boli!

Oniemiały ze zdumienia Wells zwrócił się do profesora siedzącego w pierwszym rzędzie. On jeden nie śmiał się i nie krzyczał, ale patrzył na Horacę pełnym pogardy wzrokiem.

– Ja nie rozumiem... – powiedział Wells, ale nie był pewien, czy ktokolwiek go słyszy, bo wrzaski zagłuszały jego głos. – Proszę nie odchodzić! – krzyknął desperacko, widząc, że grono lekarskie wstaje i chce opuścić aulę. – Proszę pozwolić mi powtórzyć pokaz! Jestem pewien, że...

Chciał zapewnić, że kolejny pacjent będzie dobrze znieczulony, podobnie jak dziesiątki przed nim, na których wypróbował działanie specyfiku. Pragnął też wytłumaczyć, że nie rozumie, dlaczego coś poszło nie tak – podejrzewa, że mężczyzna był podstawiony

i specjalnie krzyczał, żeby go zdyskredytować. Nic jednak nie zdążył powiedzieć, bo niedawny pacjent powalił go jednym ciosem. Kiedy się ocknął, zobaczył, że ludzie wprawdzie odciągnęli agresora, ale ten wciąż się wyrwał i groził Wellsovi.

– Na co czekasz, oszuście?! – wrzasnął ktoś z gapiów. – Wy-nocha!

Horace poszukał wzrokiem lekarzy, ale żadnego już nie było. Wybiegł z auli żegnany szyderstwami i gwizdami uczestników pokazu.



Strażnik policyjny był przyzwyczajony do krzyków. Jednak więzień aresztowany poprzedniego dnia wrzeszczał nieprzerwanie od kilkunastu godzin i Felix Georges miał tego serdecznie dosyć. Podeszedł do krat. Chudy mężczyzna na jego widok rzucił się do przodu i chwycił rękoma pręty.

– Szanowny panie – wybełkotał. – Szanowny panie... Niech mnie pan ratuje. Zamknęli mnie tu. Zapłacę...

– Siedź cicho, człowieku, bo ci kości pogruchoczę – zagroził Georges. – Zamknęli cię tu, bo żeś dziwkę zmasakrował. Nie ma takiej mocy, żebym cię wypuścił...

– Panie szanowny. – Więzień miał obłąd w oczach i wyglądał na takiego, co nie rozumie, gdy się do niego mówi po dobroci. – Jestem wielkim lekarzem... Umiem poskromić ból, umiem... Pomóż mi, człowieku.

Georges nie dał się jednak zwieść. Nie on pierwszy próbował go oszukać. Zatrzymywane prostytutki twierdziły, że szanowani obywatele posunęli się do rękoczynów wobec nich, złodzieje upierali się, że znaleźli ukradzione przedmioty, a oszuści, że zostali pomówieni.

Ten nieszczęśnik został zatrzymany po tym, jak oblał pewną prostytutkę kwasem i wypalił jej w twarzy głębokie ślady. Twierdził,

że niczego nie pamięta, nie ma pojęcia, co robił i co nim kierowało. Upierał się nawet, że nie znajduje się w Nowym Jorku, a w Bostonie w roku czterdziestym piątym, a jest przecież rok tysiąc osiemset czterdziesty ósmy. Ubzdurał sobie, że zaraz zacznie niezwykle pokaz medyczny, który uczyni go sławnym. Kiedy zamknięto go w celi, nieszczęśnik zasnął na kilka godzin tak głęboko, że Georges sądził, że już po nim. Potem się jednak obudził i wrzeszczał tak długo, że zamknięty obok niego nożownik Max groził, że udusi go własnymi rękoma, jeśli tylko zdoła dosięgnąć.

– Jaki tam z ciebie wielki lekarz. – Georges machnął ręką. – Pal-tot przenicowany, dziura na dziurze... Butów żeś, nieszczęśniku, nawet nie miał porządnych. A i sklecić kilku słów nie umiesz jak trzeba...

– Błagam... Pozwólcie chociaż do domu, po kilka rzeczy...

Georges parsknął śmiechem.

– Zaraz przyjdzie naczelnik, to z tobą pogada. Jeśli znajdą w twoim domu kwas, nie chciałbym być w twojej skórze. Każdy sędzia pośle cię na stryczek...

Georges wrócił do siebie i wepchnął sobie w uszy kawałki bawełny, żeby nie słyszeć na nowo rozpoczynającego się wycia więźnia. Tak zastał go naczelnik komisariatu policji.

– Żarty sobie robisz, Georges? Co to za wrzaski? – spytał, zatykając uszy.

– To ten nowy, panie kapitanie. – Georges zsalutował i wyciągnął z kieszeni kłębek bawełny. – Sugeruję, sir, żeby pan włożył sobie to do uszu...

– A ja sugeruję, żebyś sobie to włożył do dupy! – krzyknął Duncan Felbs, obecnie naczelnik komisariatu policji szóstej dzielnicy, w przeszłości bohater bitwy nad jeziorem Ontario oraz pod Horseshoe Bend. Poddał się jednak, kiedy stało się jasne, że człowiek z dokumentami na nazwisko Horace Wells nie zmęczy się własnymi krzykami i nie zamilknie. – Czego on chce? I skąd ma tyle siły w płucach?

– Chce iść do domu i coś stamtąd zabrać... Dlatego tak wrzeszczy – odpowiedział Georges. – Powiedziałem, że to niemożliwe... Że tylko sędzia może go wypuścić...

– Jeśli dzięki temu się zamknie, idź z nim – zgodził się prędko Felbs. – Weź ze sobą do pomocy Ramseya. A jeśli w mieszkaniu tego delikwenta znajdziecie dowody zbrodni, przynieście je na komisariat.

– Tak jest, panie kapitanie – odparł niechętnie Georges i zerknął na Ramsaya, który także nie palił się do wycieczki z więźniem.

O dziwo, kiedy Horace Wells usłyszał, że jego prośba została zaakceptowana, wyraźnie się uspokoił. Podczas drogi nie stawiał oporu i nie przysparzał specjalnych kłopotów. Mieszkanie miał liche, był to właściwie pokój z pryczą i siennikiem. Obok łóżka stały rozliczne buteleczki wypełnione różnokolorowymi płynami. W progu powitała ich niska, garbata gospodyni, która, sądząc po minie, miała jakieś porachunki z Wellsem, ale na widok policji rozwiąła się jak kamfora.

– Człowieku, ależ tu masz laboratorium... – gwizdnął Ramsay i widząc, że więzień szybkim krokiem idzie w stronę stoików wypełnionych różnymi substancjami, krzyknął: – Co ty robisz? Stój!

Wells zręcznie złapał niewielką fiolkę, wylał kilka kropli na kawałek brudnej szmatki i przytknął do nosa. Ramsay i Georges stali jak wryci i patrzyli, jak mężczyzna zmienia się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Horace Wells był teraz spokojny, jego ręce już nie drżały, głos zaś miał niski i przyjemny.

– Witam w moich skromnych progach – powiedział uprzejmie. – Czy mogę poznać panów imiona i nazwiska? Czy chcą zamówić panowie pokaz medyczny?

Georges i Ramsay spojrzeli po sobie.

– Weźże, człowieku, to, co chcesz, i wracamy do celi – przerwał milczenie Georges.

– Ależ to jakieś nieporozumienie... – Wells był autentycznie zdumiony. – Jeszcze raz pytam: co panowie tu robią?

– Zostałeś aresztowany po tym, jak wypaliłeś buzię jakiejś dziwce – mruknął Ramsay. – Wrzeszczałeś jak opętany, więc naczelnik zgodził się, żebyś zabrał z domu, co ci tam jest potrzebne. Nie wiem, co ci dolega, synu, ale popełniłeś przestępstwo, mamy dowody, więc musimy cię zabrać z powrotem na komisariat.

– Coś takiego! – oburzył się aresztowany. – Jestem Horace Wells, lekarz, dentysta i wynalazca...

– Ależ z ciebie komediant – wszedł mu w słowo Georges. – Bierz to, po coś przyszedł, i wracamy grzecznie na pryczę... A jak się będziesz opierał, to ci połamiemy kości. Zabieramy część tych skarbów. Sędzia musi to zobaczyć...

Wells zrozumiał. Kiwnął kilka razy głową, a następnie spakował dwie małe buteleczki. Kiedy policjanci nie patrzyli, niepostrzeżenie wsunął za koszulę coś jeszcze. Potem dał się odprowadzić do aresztu.



Nawiedzali go w nocy. Kiedy tylko zamykał oczy, przychodzili i zadreęczali go pytaniami i oskarżeniami.

– Dokąd się wybierasz tym razem? – krzyczała Elizabeth, tułac do piersi małego Charlesa. – Nie dość masz upokorzeń? Z czego będziemy żyli?

– Zostaniecie pod opieką Binda – odpowiedział znużony.

Znów potrzebował eteru albo najlepiej chloroformu. Jeden mały wdech pozwoli mu stawić czoło rozczarowanej żonie.

– Nie możesz nas opuścić – upierała się. – Bind! On nie jest moim mężem ani ojcem Charlesa, chociaż dalibóg powinien nim być...

Elizabeth rozplakała się z żalu i bezsilności. Jej mąż od dawna nie był sobą. W miarę rozwoju zniechęconych przez nią ekspe-

rymentów zniknął gdzieś dobry, ambitny młody człowiek, który z oddaniem leczył ludziom zęby i zakładał protezy, wielce szanowany i lubiany w Hartford.

– Horace, błagam cię... – spróbowała jeszcze raz.

– Jadę do Nowego Jorku, tam zdobędę klientów. Będę uczył lekarzy, jak leczyć, operować bez bólu. Wrócę z pieniędzmi, odzyskam szacunek...

– Horace! – krzyczała Elizabeth. – Horace! To mrzonki, a ty jesteś chory!

Ocknął się. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Miał sucho w ustach. Jeszcze jedno z potwornych skutków oparów, które musiał wdychać, żeby zebrać myśli.

– Gdzie jestem? – wymamrotał.

– W areszcie policyjnym w Nowym Jorku – usłyszał głos więźnia, który siedział w celi obok. – Arakowałeś dziwki na ulicach. Kilka już tu przyszło i pokazało zeszczone buźki. Czemu to zrobiłeś? Jakaś kurwa cię rzuciła?

Co ja tu robię? Co ja tu robię? – myślał, próbując opanować drżenie ciała. Przychodzili do mnie różni ludzie, oferowali pieniądze za jakieś substancje, także trucizny, przypominał sobie z trudem. Sprzedawałem je, żeby kupić eter. Potrzebowałem go, coraz więcej i więcej. Bez niego nie byłem sobą. Elizabeth i Charles... Porzuciłem żonę i synka... Co ja zrobiłem?

– Jak nic cię powieszają... – rzucił nożownik Max.

Zabiją mnie, ale najpierw pozbawią eteru, pomyślał Horace Wells. Jestem zmęczony, tak bardzo zmęczony. Niech to już się skończy. Chociaż nie, zrobię to sam, oni zadadzą mi ból. Poświęciłem życie temu, aby leczyć bez bólu. Nie mogę pozwolić, abym odczuwał go w chwili śmierci. Wybacz mi, Elizabeth. Wybacz mi, Charles.

Dźwignął się na swojej pryczy. Wyjął brzytwę, którą zabrał z domu, korzystając z chwili nieuwagi policjantów, i odciął kawa-

łek koszuli. Z buteleczki wylał eter na materiał i przytknął do nosa. Błogi spokój ogarnął jego ciało. Szybko wbił ostrze w tętnicę udową. Nie czuł nic, kiedy wykrwawiał się na śmierć.

ROZDZIAŁ I

w którym poznajemy Bogumiła Korzyńskiego, młodego ambitnego lekarza, w przededniu rozpoczęcia przez niego wymarzonej praktyki w warszawskim Szpitalu Dzieciątka Jezus, i jego żonę Domicelę, która oczekuje ich trzeciego dziecka. Prezentujemy także dwie rodziny: Przybylskich – rodzinę lekarską z tradycjami, oraz Korzyńskich, którzy imali się najróżniejszych zajęć, zanim spadek ciotki Konstancji nie dał im szansy na wyrwanie się z biedy. Pojawia się też postaci poboczne, ale z potencjałem na rozwinięcie ich wątków, takie jak Henryk, lojalny lokaj Bogumiła, Leopold Teraz-Zawisza, lekarz tropiący zarazy w Kongresówce, jego piękna matka Karolina oraz Augusta Przybylska – brzydka, ale niezwykle zdolna szwagierka Bogumiła.

Bogumił Korzyński z trudem tłumił podniecenie. Znajdował się w auli na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, właśnie miał się zacząć wykład wybitnego profesora Aleksandra Berneńskiego. Wzrok Korzyńskiego spoczął na sąsiedzie, równie młodym jak on lekarzu w grubych okularach na mięsistym nosie i o pocziwym, okrągłym obliczu. Już chciał się przedstawić i spytać, czy ów lekarz jest miejscowy czy też tak jak on przybył na wykład z Warszawy lub innego miasta, bo na sekcje Berneńskiego przyjeżdżali studenci i lekarze nawet z najdalszych zakątków Europy, gdy do auli wszedł profesor ze swoimi asystentami. Wszyscy wstali, ale Berneński machnął ręką, podszedł do już przygotowanego na stole sekcyjnym trupa i od razu przeszedł do rzeczy. Słyszał bowiem z tego, że nie tracił ani chwili na powitania czy niepotrzebne przemowy, tylko natychmiast przystępował do działania.

– Proszę spojrzeć, szanowni koledzy, jak dziwną strukturę ma żywot teje oto nieszczęsnicy... – Profesor Aleksander Berneński wycelował palcem w głąb jamy ciała zmarłej, po czym uniósł łysą głowę i spojrział na zgromadzonych.

Rzecz jasna profesor miał na myśli nie pasmo nieszczęść życiowych, które przywiodły nieboszczkę na stół sekcyjny, a jej macicę. Bogumił nie był zaskoczony, że wybitny krakowski lekarz chorób kobiecych preferuje staropolską nazwę tego narządu. Na znak Berneńskiego nachylił się zatem do przodu i wyteżył wzrok, aby dojrzeć przedmiot dzisiejszego wykładu. To, co zobaczył, nie napełniło go optymizmem, ale nie poczuł odrazy. Widywał zwłoki w znacznie gorszym stanie. Na kamiennym stole sekcyjnym leżała kobieta w kwiecie wieku. Po pobieżnym oglądzie Bogumił stwierdził, że miała około czterdziestu lat, ciemne włosy poprzetykane siwymi pasmami. Nawet śmierć nie starła z jej twarzy zmęczenia. Zastanowił się, czy owo pośmiertne wrażenie było kwestią choroby, którą profesor miał im zaprezentować, czy też trudnego życia nieboszczki.

– Poznałem tę kobietę zaledwie dwa dni temu, gdy przywieziono ją do mnie w drugim stadium przedwczesnego porodu. Martwy, zniekształcony płód powiła niemalże pod moimi stopami, a następnie po dwudniowej malignie wyzionęła ducha.

Profesor zrobił przerwę, a Bogumił podniósł rękę. Po raz pierwszy uczestniczył w słynnych krakowskich pokazowych sekcjach zwłok, ale szwagier i starszy kolega Gracjan Fabijański, który go rekomendował, wyjaśnił, jak powinien się zachować. Pierwszym i najważniejszym przykazaniem było nie odzywać się niepytanym. To mogło spowodować wyproszenie nieszczęsnika z auli i swego rodzaju wilczy bilet, a profesor miał ponoć pamięć słonia i nigdy nie wpuszczał „aroganta” na swój wykład. Druga, nie mniej ważna wskazówka udzielona mu przez Gracjana brzmiała: musisz zadać pytanie związane z tematem pokazu,

ale w odpowiednim momencie. Najlepiej, jeśli zrobisz to jako pierwszy, wtedy, kiedy profesor przedstawi przedmiot zasadniczy sekcji, powie kilka słów i zrobi przerwę. Unieś rękę, pouczaj Gracjan, i kiedy jego wzrok spocznie na tobie, pytaj. Tylko dobrze wybierz pytanie, bo jeśli „dziadek” Berneński uzna je za kretyńskie, nie dość, że ci nie odpowie, to jeszcze gotów będzie cię zrugać.

– Czy pacjentka pochodziła z... nizin społecznych? – spytał nieco nieśmiało i zaraz pożałował swoich oględnych słów, gdyż mógł wprost zapytać, czy była prostytutką oraz czy chorowała na kiłę.

Profesor docenił jednak takt pytającego i wartość pytania.

– Nie, panie kolego – odpowiedział spokojnie. – Ta kobieta nie była damą, ale też nie nierządnicą. To porządna mieszcza. Żona piekarza, mieszkająca przy Plantach. Nie była zarażona żadną chorobą weneryczną.

– Ile miała lat? Czy wiadomo, ile razy rodziła? – wyrwał się nieco zbyt wcześnie sąsiad Bogumiła, a potem zagryzł nerwowo wargi. Widać, też pouczono go o konieczności zadawania pytań, ale nie wyczuł właściwego momentu.

Po sali przeszedł szmer.

– Zaraz bym to powiedział, gdyby tylko pozwolono mi się spokojnie wypowiedzieć... – wycedził Berneński.

Bogumił nie patrzył na kolegę, ale mógłby przysiąc, że ów spocił się ze zdenerwowania. Trzecie przykazanie Gracjana brzmiało: patrz prosto na zwłoki, nie rozglądaj się, a już na pewno nie zadzieraj głowy, gdy ktoś z wyższych piętér zadaje pytanie.

– Owszem, wiadomo – kontynuował Berneński po dłuższej chwili, a Bogumił usłyszał z boku sapnięcie ulgi. – Liczyła sobie czterdzieści dwie wiosny. Płód, który wydała na świat, byłby jedenaścim dzieckiem piekarskiej, która notabene nazywała się Stanisława Trzos...

Gracjan opowiadał, że profesor, co niezwykle dla tak wielkiego człowieka, ogromnie interesuje się losem swoich pacjentek, nierzadko osobiście odbiera porody, a nawet towarzyszy zmarłym w ich ostatniej drodze. Nie oddaje tej posługi bogatym i wpływowym krakowiankom, a ubogim i prostym kobietom, zwykle nie przyjmując pieniędzy. Cóż winni są ludzie, którzy przyszli na świat jako ubodzy? – mawiał. Jedyne, czego się głęboko brzydzi, to nierządnicę, wyraża się o nich z pogardą i nie ma zrozumienia dla powodów, dla których te „źródła zarazy” zeszyły na taką drogę. O tym także mówił Bogumiłowi szwagier.

– Czy zmarła Stanisława Trzos zdołała opowiedzieć o odczuwanych dolegliwościach, zanim wydała ostatnie tchnienie? – spytał Bogumił, kiedy profesor ponownie pozwolił mu zadać pytanie.

Kwestia jedenaściorga dzieci niezbyt go wzruszyła. Jego własna żona była dwanaście lat młodsza od zmarłej kobiety, a właśnie spodziewała się trzeciego dziecka. Stanisława Trzos jak na czterdziestolatkę miała przeciętną liczbę potomstwa. Pozostawało dowiedzieć się, kiedy powiła dziesiąte dziecko, a będzie wiadomo, jak długo chorowała. Ważniejsze było to, czy przed śmiercią skarżyła się na bóle, skurcze, gorączkę lub opuchliznę.

– Owszem, zdołała. – Profesor na dłużej zatrzymał wzrok na Bogumile. – Od chwili urodzenia ostatniego dziecka wyraźnie zaniemogła. Była w połogu dłużej, niż oczekiwano, i dręczyły ją uporczywe krwawe upławy z dróg rodnych. Była pewna, że nie będzie miała więcej dzieci. Kolejną ciążę powitała z zaskoczeniem, ale spokojnie. Widocznie Bóg tak chciał... Nie przyszło jej do głowy, aby udać się do lekarza, chociaż bolało ją podbrzusze, dokuczały jej też skurcze. Kiedy upadła przy piecu i zaczęła krwawić, mąż udał się po znajomego felczera, który stwierdził jedynie, że trzeba czekać i się modlić. Zalecił także, aby Trzosa nie pracowała ponad siły. To uspokoiło tych biednych ludzi. Na szczęście moja służąca Franciszka jest skoligacona z rodziną

zmarłej. Tak biedaczka znalazła się u mnie. Niestety, za późno, chociaż zważywszy na to, co tutaj mamy, i tak byłoby zbyt późno na cokolwiek... Kobieta zmarła z powodu wycieńczającej ją gorączki, która trawiła ją od dwóch niedziel. Prawdziwa przyczyna śmierci znajduje się jednak tutaj.

Profesor ponownie wskazał dolną część jamy brzusznej.

– Operacja by nie pomogła? – odezwał się nagle ktoś z boku.

Nie odwracając głowy, Bogumił skierował wzrok w stronę pytającego. Zobaczył drobnego studencika, który wyglądał raczej na chłopca niż na przyszłego ucznia Hippokratesa. Wstrzymał oddech, bo studencik dotknął jednego z tematów objętych swoistym tabu, i Bogumił zastanowił się, czy chłopak zdaje sobie sprawę z tego, że właśnie zasugerował operację na ciężarnej kobiecie. W sali zaległa cisza tak głęboka, że słychać było tylko bzyczące muchy, rojące się nad zwłokami nieszczęsnej Stanisławy Trzos.

– Wykonana odpowiednio wcześniej – być może – wycedził zimno profesor po jakiejś minucie wpatrywania się w adeptów sztuki lekarskiej. – W takich okolicznościach jednak nic nie dało się zrobić.

– Ale po poronieniu mogłaby zostać z powodzeniem zoperowana, prawda? – indagował tamten. – A trafiła do pana po utracie płodu... Gdyby od razu, nie bacząc na okoliczności...

W ciszy, która ponownie zapadła po tym pytaniu, słychać było brzęczenie nawet niewykłutych much.

– Panie... szanowny... wystawiasz pan sobie świadectwo, pytając o wycięcie żywota z płodem w środku, co stanowiłoby pogwałcenie praw ludzkich i boskich. Połóg jest nie mniej święty... Poza tym powtarzam: chora była w gorączce i zmarła po dwóch dniach. Nie przeżyłaby operacji. – Profesor mówił dobitnym głosem, wyrzucał słowa niczym pociski i patrzył prosto na bezczelnego studenta.

Bogumił nieomalże słyszał, jak Berneński miota w myślach przekleństwa pod adresem młokosa. Wskazywały na to użycie formy „panie szanowny” zamiast „kolego”, względnie „panie kolego”, i ton jego głosu. Jeśli Gracjan dobrze scharakteryzował starego Berneńskiego, to ten powinien wyrzucić studenta z zajęć i uprzedzić, że nie ma już powrotu.

– Proszę opuścić naszą salę i więcej tu nie wracać. Pan nie jesteś studentem, a jakimś pismakiem lub policmajstrem nasłanym przez władze, aby mnie przyłapać na łamaniu prawa! – wrzasnął nagle profesor.

Mężczyzna wzruszył ramionami, bez słowa złapał za poły lichej kurtki i opuścił salę przez jedno z górnych drzwi.

– Nawet nie próbował się bronić... – szepnął sąsiad Bogumiła, korzystając ze szmeru oburzenia na sali i z tego, że profesor przez chwilę rozmawiał z asystentami. – Może to naprawdę policjant?

– Może... – odpowiedział Korzyński szeptem. – Profesor wykłada po polsku zamiast po niemiecku. U nas publicznie można mówić tylko po rosyjsku, chociaż są miejsca, gdzie profesorowie nie boją się carskich urzędników. – Zawahał się na krótką chwilę. – Ale żeby szpieg tutaj? Pod rządami najjaśniejszego pana...?

Ostatnie zdanie dodał, bo uświadomił sobie, że jego sąsiad także może być carskim urzędnikiem. Echa powstania listopadowego wciąż rozbrzmiewały. Nieco niezręcznie to wypadło i Bogumił posłał mężczyźnie przepaszający uśmiech. Ten szybko wyciągnął rękę.

– Leopold Teraz-Zawisza – powiedział cicho.

Bogumił przedstawił się, po czym szybko usiadł prosto i ponownie wbił wzrok w zwłoki kobiety. Asystent wydobył właśnie z ciała zmarłej pokrytą guzami macicę, a profesor, który wyraźnie doszedł do siebie po incydencie z fałszywym studentem,

demonstrował chory narząd zebranych. Bogumił nigdy wcześniej nie widział czegoś tak okropnego. Macica była cała rozdęta, od zewnątrz i wewnątrz rozsadzały ją guzy, niektóre pęknięte, z zastygłą krwią wymieszaną z ropą.

– Proszę zauważyć – pokazywał profesor bez cienia odrazy – że owe guzy nie ograniczają się jedynie do samego żywota, a obecne są także w jamie brzusznej i płucach zmarłej.

To powiedziawszy, uniósł wypielęgnowaną dłońią podany przez asystenta kawałek ludzkiego strzępu. Bogumił po raz kolejny poczuł wielki podziw dla profesora, który nie wahał się dotykać chorych narządów. On sam ogromnie bał się zarazy, która zbierała żniwo wśród studentów medycyny i lekarzy, nie oszczędzając także profesorów.

– Chciałbym dodać, że nie są to guzy zapalne. Chora nie zmarła na gorączkę połogową. Choroba, która ją zabiła, znana jest nam od lat i dotyka kobiety mające za sobą wiele porodów. Wydaje się, że jest to jedna z jej przyczyn, aczkolwiek znam mieszczki i damy, które mają liczne potomstwo i chodzą po tym łożu padole w dobrym zdrowiu, dożywając sędziwego wieku.

„Skoro wspomina o padole łoż, to znaczy, że kończy”, ucieszył się Bogumił. Uprzedził go o tym Gracjan. „Zaraz będę mógł podejść i wyjaśnić kwestię, dla której przyjechałem, a potem wrócić do domu, do mojej Domiceli”.

– Tymczasem żegnam panów i zachęcam, abyście, drodzy koledzy, podeszli i przyjrzeni się temu zjawisku z bliska. Proszę nie obawiać się dotykać zmienionych tkanek – zachęcał. Już na odchodnym, jakby z wahaniem, nawiązując do sugestii wyrzuczonego studenta, dodał: – Przyjdzie czas, kiedy zobaczymy takie zmiany nie tylko podczas sekcji, ale też w trakcie skutecznej operacji. Jeszcze jednak nie teraz. Ja już zapewne tego nie dożyję, ale panowie... Kto wie.

Bogumił, nie zważając na Leopolda, zszedł ze swojej ławki i pochylił się nad rozplatanym i wypatroszonym ciałem. W nozdrza uderzył go trupi zapach. Przełknął ślinę, żałując, że bez namysłu zjadł rano cynaderki, po czym wziął do ręki kawałek zmienionego jelita, czując, że profesor na niego patrzy.

– Wychodząc, proszę nie omijać puszek, którą tu ustawiłem – usłyszał jeszcze. – Zebrane środki zostaną przekazane rodzinie zmarłej i poświęcone na pochówek oraz na utrzymanie biednych sierot, które czekały na kolejnego braciszka lub siostrzyczkę, a straciły matkę...

Kiedy Bogumił obejrzał nie tylko macicę, ale też chore jelito, nacieki na płucu i zastygłe w majestacie śmierci serce, wytarł rękę w serwetę, którą podał mu usługowy asystent, i podszedł do profesora. Ukłonił się i przedstawił:

– Bogumił Korzyński z Warszawy, rekomendowany przez doktora Gracjana Fabijańskiego.

– Witam, panie kolego. – Profesor wyciągnął rękę, którą Bogumił ścisnął, modląc się, żeby nie było na niej nawet śladu tkanek, których wcześniej dotykał. – Proszę przekazać doktorowi Fabijańskiemu serdeczne wyrazy uszanowania. Czy coś szczególnego pana do mnie sprowadza?

Bogumił ponownie się ukłonił.

– Chciałbym spytać, co pan profesor sądzi o stosowaniu związków eteru podczas porodów, aby ulżyć kobietom... – zaczął.

Wyraz twarzy profesora się zmienił.

– To delikatny temat... Bardzo delikatny...

Bogumił, pomny tego, co mówił mu Gracjan, pospieszył z wyjaśnieniem:

– Pytam, ponieważ chciałbym zastosować go u mojej żony, która oczekuje naszego dziecka. Każdy kolejny poród jest coraz dłuższy i nieszczęsna bardzo cierpi, a córki... przyszyły na ten świat sine niczym liście śliwy...

Berneński spojrzał na niego uważnie.

– Jednym słowem, nie chce pan zarabiać na – chwilę szukał właściwego słowa – atrakcyjnych porodach, a jedynie ulżyć małżonce, tak?

Korzyński pokiwał głową.

– Którą kocham nad życie – dodał skwapliwie. – Dokładnie tak, panie profesorze...

– Przyjechał pan tu, żeby mnie o to spytać? – upewnił się.

Korzyński tym razem pokręcił przecząco głową.

– Przyjechałem z Warszawy, żeby poznać metody pracy pana profesora. Ja także chciałbym się zająć chorobami kobiecymi... Jestem lekarzem i żadna część ciała nie jest mi obca, ale... Nie wiem, jak to wyjaśnić...

– Najlepiej wprost. – Berneński uśmiechnął się. – Czy to tradycja rodzinna? Pana ojciec był lekarzem? Pewnie dziadek także? Może chodzi o nieszczęścia związane z porodami w pańskiej rodzinie?

Bogumił spuścił oczy.

– Moja matka była praczką, a ojciec pracował w fabryce. Jestem najmłodszy z siedmiorga rodzeństwa. Podczas ostatniego, ósmego porodu matka zmarła, dziecko także... Dlatego ja...

Profesor położył mu rękę na ramieniu.

– Rozumiem – powiedział. – Nie należę do ludzi, którzy uważają, że nasz szlachetny zawód powinien przechodzić z ojca na syna. Najważniejsze są pasja i determinacja.

Bogumił odetchnął z ulgą. Bał się, że profesor na wstępie pośle go do stu diabłów.

– Bardzo dziękuję szanownemu panu. – Ukłonił się. – Jeśli nie nadużywam, pragnąłbym jeszcze...

– Zapewne chce pan zostać moim asystentem – domyślił się Berneński i lekko skrzywił. – Cóż...

Bogumił nabrał głęboko powietrza. „Teraz albo nigdy”, pomyślał.

– Zapewne uzna mnie pan profesor za impertynenta, może wręcz za chama, ale nie mogę opuścić Warszawy. Wiąże się to z moją małżonką, która... – Zawahał się. – Mniejsza z tym. Chciałbym prosić, aby polecił mnie pan profesorowi Tyczyńskiemu. Słyszałem, że panowie razem studiowaliście. Profesor nie chce mnie przyjąć, nie chce nawet ze mną rozmawiać... Nie dziwię się, gdyż jestem tylko zwykłym lekarzem, ale bardzo...

Przerwał, bo twarz Berneńskiego stała się poważna. Czyżby między nim a znamienitym Albertem Tyczyńskim były jakieś nieporozumienia? Gracjan o niczym takim nie wspominał. „Jeśli tak, to przepadłem”, pomyślał.

Berneński się zamyślił.

– Panie kolego – odezwał się w końcu. – Teraz nie chciałbym o tym dyskutować, ale zapraszam na popołudniową herbatę do mojego gabinetu. Powiedzmy, o siedemnastej. Tam omówimy całą sprawę. Muszę poznać pewne fakty i zapoznać pana z zasadniczą kwestią...

– Oczywiście. – Bogumił uklonił się i zrobił miejsce innym studentom, którzy niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę, czekając na swoją kolej na zadawanie pytań profesorowi.

Przy wyjściu natknął się na Leopolda. Bogumił skinął mu głową na pożegnanie, ale Leopold zatrzymał go i powiedział nieśmiałym głosem:

– Chciałbym szanownemu koledze zaproponować wspólny posiłek, jeśli oczywiście nie wracasz pan natychmiast do Warszawy...

Bogumiłowi zrobiło się go nieco żal. Przypominał mu z wyglądu Adama, brata stryjecznego żony, grubego, nieśmiałego chłopca, który kolekcjonował motyle, a w obecności rodziny zwykle nie wypowiadał nic poza słowami powitania i pożegnania.

– Nie wracam – odparł. – Przynajmniej nie od razu, gdyż profesor zaprosił mnie na herbatę. Właśnie zastanawiałem się, gdzie by tu można zjeść coś pożywnego, zatem z radością przyjmuję propozycję.

Leopold się uśmiechnął.

– Ja wiem, gdzie można zjeść najlepszy posiłek w Krakowie – stwierdził tajemniczo. – Tylko trzeba przejść kawałek drogi...

– Jeśli tylko zdołam wrócić tu na piątą, to prowadź, mój drogi. Ja zapraszam.

Leopold ruszył dziarskim krokiem.

– Nie, nie... Ja zapraszam, bo idziemy do mojego domu.

Bogumił przystanął na chwilę.

– Czy to nie jest zbytnia zuchwałość z mojej strony? Ledwie kolegę poznałem, a już się wpraszam do domu na obiad?

– Skądże – uspokoił go Leopold Teraz-Zawisza. – Przypominam, że to ja wyszedłem z propozycją. Moja matka się ucieszy. Nikogo do tej pory nie zapraszałem do domu. Nie mam wielu kolegów...

Bogumił chciał spytać dlaczego, ale się nie odważył. Wygląd jego rozmówcy, poczciwy i nieco staroświecki, sugerował, że Leopold to mężczyzna o dobrym charakterze, ale niezbyt atrakcyjny towarzysko. „A może to jakiś morderca, a ja leżę za nim jak kto głupi”, pomyślał nagle Bogumił. „Nie jestem pewien nawet, czy jest lekarzem...”

– Dokąd idziemy i czemu nie weźmiemy dorożki? – spytał nieco niegrzecznie, ale usprawiedliwiało go błoto na ulicy Sławkowskiej, które właśnie osiadło na jego butach. W dodatku ktoś właśnie wylewał pomyje wprost na ulicę i Bogumił pomyślał, że błoto da się wyczyścić, ale ziemniaczane obierki mogą ubrudzić mu nie tylko buty, ale też spodnie. Gdyby przyszedł do profesora Berneńskiego śmierdzący zgniłymi ziemniakami, mógłby nie osiągnąć celu, jaki sobie wytyczył, przyjeżdżając tutaj.

– Wybacz, szanowny kolego – zasępił się Leopold. – Jakże to niegrzecznie z mojej strony. Przywykłem do spacerów, bo są zdrowe i pozwalają zachować kondycję. Nie pomyślałem, że w Kongresówce jest przecież więcej miejsca na ulicach i pewnie są czystsze niż nasze krakowskie. Bieda tak nie dokucza jak tutaj... Powinienem był jednak fiakra...

– To nic, to nic... – Bogumił poczuł się niczym paniczyk, który nie jest w stanie zrobić dwóch kroków, żeby się nie zmęczyć czy nie ubrudzić. – Tylko dzień chłodny i nie chciałem się przeziębić.

Z jednej z kamienic wyszła kobieta z dwójką małych dzieci u boku i pakunkiem bielizny pościelowej pod pachą. Najwyraźniej praczka, która szła do jakichś państwa ze świeżo wypranymi poszwami i prześcieradłami. Mijając ich, odpowiedziała na pozdrowienie Leopolda. Bogumił zdumiał się, że lekarz, bądź co bądź człowiek z wyższej klasy, kłania się biednej kobiecie, ale nic nie powiedział.

– To już niedaleko – pocieszył go Leopold. – Na Długiej. Mamy tam z matką małe mieszkanie, po mojej ciotce...

Bogumił nieomalże wpadł na grupkę chłopców, którzy wybiegli zza roku i gnali dokądś całą szerokością ulicy, rozchlapując błoto i gwizdząc, aż uszy puchły.

– Ja swojej ciotce też wszystko zawdzięczam – wyznał Bogumił, nagle zawstydzony. – A skoro, jak powiadasz, twoja matka ma mnie gościć na obiedzie, to i ja bym chciał cokolwiek... Z pustymi rękami nie wypada.

– To musimy udać się na plac Szczepański. – Leopold wskazał na lewo. – Tam można kupić słodycze. Mama za nimi przepada, chociaż ją przed nimi przestrzegam. Sam jestem, jak widzisz, wielkim łasuchem...

Bogumił kupił dużą tutkę napełnioną łakociami za całe pięćdziesiąt groszy i znów ruszyli jeszcze bardziej błotnistymi ulicami

w kierunku Długiej. Minął ich fiakier, a Bogumił odprowadził dorożkę tęsknym wzrokiem. „Jak to się człowiek do dobrego przyzwyczaja”, pomyślał. „Jeszcze dziesięć lat temu byłem biedakiem i nie miałem przed sobą żadnej przeszłości poza pracą fizyczną, a teraz proszę – jestem lekarzem, wżeniłem się w dobrą rodzinę i ciągle mi mało. A przecież chciałbym pracować w służbie ludzi ze środowiska, z którego i ja się wywodzę, takich, których dziś mijam na ulicach, a nie jestem w stanie dostrzec z okna dorożki”.

– Coś cię trapi? – spytał Leopold, ale Bogumił zaprzeczył.

– Będę musiał dobrze obliczyć czas drogi powrotnej, żeby się na tę moją rozmowę nie spóźnić – odpowiedział wymijająco.

– To już tutaj. – Kolega wskazał piękną, kutą w żelazie bramę. – Pozwól, że pójde przodem.

Dom Leopolda był skromny, nawet więcej niż skromny jak na pozycję, którą mężczyzna zajmował w hierarchii społecznej, chociaż kamienica nie była tak zaniedbana jak te na Sławkowskiej. Nie otworzyła im służąca, tylko matka Leopolda, która najwyraźniej z niecierpliwością czekała na syna. Na widok Bogumiła okazała zdumienie, ale i radość – widocznie Leopold naprawdę był samotnikiem, a jego matce to doskwierało.

– Dzień dobry – przywitał się Bogumił. – Ja...

– Poldzio przyprowadził kolegę! – Klasnęła w dłonie zupełnie jak dziewczynka, która dostała prezent. – Proszę, proszę, drogi panie...

– Bogumił Korzyński. – Ukłonił się nisko.

– Karolina Teraz-Zawisza. – Kobieta uśmiechnęła się ciepło, ale zaraz odwróciła głowę i krzyknęła: – Józefo! Proszę o jeszcze jedno nakrycie! Mamy gości!

Bogumił przyglądał się jej ukradkiem. Jakże Leopold był niepodobny do swej matki. Nie przypominała żadnej z kobiet, które znał. To prawda, że obracał się w zamkniętym kręgu rodziny swojej żony, bo własnej już nie miał, ale sądził, że wszystkie panie

w wieku balzakowskim są mniej lub bardziej podobne do jego teściowej. Od Karoliny Teraz-Zawiszy biła jednak wielka siła, zarówno ciała, jak i ducha. Kobieta odznaczała się szczególnym wdziękiem i urodą. Patrzył zachwycony na jej eleganckie ruchy, słuchał melodyjnego głosu i ani przez chwilę nie pożałował, że przyjął zaproszenie Leopolda. Przypomniała mu się jego teściowa, wiecznie skrzywiona i skarżąca się na przeróżne, według Bogumiła urojone, dolegliwości, swoimi narzekaniami dręcząca całe otoczenie: pocziwego męża Remigiusza, trzy córki, dwóch synów (w tym Gracjana Fabijańskiego), dwóch zięciów (w tym jego samego) oraz synową. Doskonale odnajdywała się jako nestorka rodu lekarskiego. Tą szlachetną profesją prócz Gracjana parali się jeszcze: obecny mąż Leokadii Remigiusz Przybylski, świętej pamięci pierwszy małżonek Ludwik Koniecpolski, zięć Tomasz oraz syn Stefan, oczko w głowie i największa duma rodzicielki, notabene bęcwał jakich mało.

– Proszę się rozgościć. – Na harmonijnej twarzy Karoliny ponownie pojawił się miły uśmiech. – Skromnie u nas, ale bardzo serdecznie.

Przy obiedzie, który składał się z kotletów wieprzowych, klupek kładzionych polanych sosem oraz duszonych warzyw podanych przez starą służącą o surowym obliczu, pani domu subtelnie spytała Bogumiła, skąd pochodzi.

– Przyszedłem na świat we wsi Rakowiec – wyznał. – Ojciec po śmierci mojej mamusi, świeć, Panie, nad jej duszą, wziął naszą siódemkę i przeniósł się do Warszawy. Tam w znoju pracował, żeby nas wykarmić.

Kobieta uniosła brwi ze zdumienia.

– Pana los musiał być bardzo ciężki... – powiedziała cicho. Bogumił miał inne zdanie.

– Uważam, że miałem dużo szczęścia. – Uśmiechnął się. – Wszystkie moje siostry i wszyscy bracia oprócz jednego zmarli

na czerwone. Po wsi przeszła kostucha i zabrała co trzeciego... Słabo to pamiętam, chociaż miałem jakieś dziesięć lat. Ojciec wywiózł mnie i mojego brata na wieś do rodziny i tam kazał czekać na koniec zarazy. Nigdy po nas nie wrócił.

Przy stole zapadła cisza.

– Jak to się zatem stało, że zostałeś lekarzem? – spytał Leopold.

„A to, bracie, dłuższa opowieść, której nie uzyskasz nawet z wdzięczności za takie wspaniałe jedzenie”, stwierdził Bogumił w myślach. Zastanowił się, jak by się tu wykręcić od odpowiedzi, kiedy w sukurs przyszła mu matka Leopolda.

– Poldeczku, nie wypytuj tak pana, to nieładnie...

– Przepraszam – bąknął mężczyzna i pochylił głowę nad talerzem.

– Podać państwu herbatę tu czy tam? – spytała chuda służąca, wskazując niewielki intarsjowany stolik.

– Przy oknie będzie więcej światła – uznała pani Karolina Teraz-Zawisza. – Niech Józefa przyniesie też nalewkę oraz makagigi.

Służąca nie ruszyła się z miejsca. Bogumił przyglądał się tu-tejszym obyczajom i zastanawiał się, czy pod rządami najjaśniejszego pana wszystkie służące są takie harde czy tylko u Teraz-Zawiszów niejaka Józefa ma więcej do gadania niż gospodyni. W jego domu były dwie służące, oprócz tego osobista pokojówka Domiceli, kucharka i pomoc podkuchenna, opłacane przez bogatą rodzinę żony. Domicela i jej matka bez przerwy narzekały na służbę, która była ponoć „rozpasana i niechlujna”. On sam się nie wypowiadał w tej kwestii, ponieważ pozostawała ona w gestii kobiet. Jego doświadczenia życiowe sprawiły, że równie chętnie jadł ziemniaki z okrasą, co szczupaka w galarecie. Jego obecny status społeczny wymagał jednak, aby chwalił szczupaka na stole, a gwałtownie wzdrygał się na widok ziemniaków. Zachowywał zatem wobec służby dystans. Miał jednak zaufanego przyjaciela

w osobie starego lokaja Henryka, którego zabrał ze sobą z domu ciotki dobrodziejki po ślubie z Domicelą. Henryk był jedynym pomostem łączącym go z dawnym życiem.

– Czy jest jakiś kłopot z nalewką lub makagigami, droga Józefo? – Leopold pospieszył na ratunek matce.

– Klucz. – Józefa wypowiedziała to jedno słowo takim tonem, że Bogumił wyobraził sobie, że musi chodzić o jakiś skarbiec, który ma zostać otwarty specjalnie dla niego.

– Tyle razy mówiłam drogiej Józefie, że nie zamykam na klucz szafki z nalewkami...

– A ja tyle razy mówiłam, żeby szanowna pani zamykała. Makagigi mogą zjeść myszy – burknęła służąca i wzniosła oczy ku niebu.

– Myszy nie lubią miodu – wtrącił się znów Leopold. – Ani nie piją nalewek.

– Trzeba zamykać – upierała się Józefa.

Karolina Teraz-Zawisza uśmiechnęła się pojednawczo.

– Obiecuję, że zacznę zamykać szafkę. Od następnego razu. A teraz gdyby tak Józefa mogła...

– Przepraszam pana – powiedziała pani domu, kiedy służąca oddaliła się, aby przygotować herbatę oraz makagigi i nalewkę. – Tak trudno dziś o pokojówkę, a Józefa jest w naszej rodzinie od lat. Zatrudniłszy ją, jeszcze zanim mój mąż...

Leopold rzucił matce szybkie spojrzenie, a ona umilkła.

– Bardzo mi przykro z powodu pani małżonka i twojego ojca, Leopoldzie... – Bogumił uniósł się nieco nad stołem i obdarzył wdowę współczującym w swoim mniemaniu spojrzeniem.

Ani jedno, ani drugie nie powiedziało nawet słowa. „Coś musi być na rzeczy”, pomyślał Bogumił. „Albo ona nie wdowa, albo odejście pana małżonka z tego świata nie całkiem po bożemu się odbyło i spokojnie na cmentarzu Rakowickim nie spoczywa. Tylko co powiedzieć?”

– Podałam. – Głos Józefy wybawił go z kłopotu.

Makagigi były przednie. Niewielkie kulki miodu wypełnione orzechami rozplływały się w ustach i Bogumił zjadł więcej, niż wypadało.

– Wyborne – zachwycił się.

Leopold także sięgnął po kolejną porcję deseru, ale po namyśle cofnął rękę. No tak, pomyślał Bogumił, to pewnie przez nie obrósł w dodatkowy podbródek.

– A ty, Leopoldzie, w Krakowie z dziada pradziada? – spytał.

– Można tak powiedzieć – chrząknął zapytany. – Dziadek był felczerem, jednym z tych, którzy krążyli po dzielnicach biedoty i za kilka groszy albo miskę zupy usuwali zęby tudzież przecinali ropnie. Ciężko pracował, aby mój ojciec mógł się kształcić. Ziar- no padło na podatny grunt i ojciec stał się jednym z najbieglej- szych chirurgów w Krakowie.

To ostatnie zdanie wypowiedział z dumą. Twarz jego matki pozostała obojętna.

– W jakim czasie usuwał rękę lub nogę? – spytał Bogumił z zainteresowaniem.

Operacje stanowiły dla niego przykrą konieczność i gdy- by mógł, chętnie by ich nie przeprowadzał. Nie cierpiał, kiedy przywiązany do łóżka pacjent wrzeszczał w niebogłoso, utrud- niając mu zabieg. Zwykle oddychał z ulgą, gdy nieszczęśnik tra- cił przytomność. Stanowczo wolał medycynę ogólną, badanie pacjenta, studiowanie pism lekarskich, analizowanie choroby: skąd się wzięła, jak jej zapobiec, wreszcie jak leczyć. Uważał, że to właśnie do medycyny ogólnej należy przyszłość. Jeszcze kilka lat temu biegłość i szybkość chirurga były na wagę złota. Pacjent znieczulony jedynie alkoholem często umierał pod nożem, jeśli chirurg guzdrał się z amputacją dłużej niż kilka minut. Chirurga uznawano za biegłego, jeżeli umiał usunąć chory narząd w czasie krótszym niż kilka minut. Nie zawsze jednak oznaczało to wy-

leczenie. Naruszenie naczyń mogło spowodować wykrwawienie lub chirurg w pośpiechu mógł niecałkowicie usunąć chory narząd. Bogumił miał nadzieję, że za sprawą eteru wszystko się zmieni. Niestety starsze grono lekarskie sprzeciwiało się szerokiemu stosowaniu usypiania podczas operacji, wieszcząc, że to tylko moda, która szybko przeminie, a sam eter jest szkodliwy dla zdrowia.

– Nogę w czasie dwóch minut, rękę szybciej, w minutę – odparł dumnie Leopold. – Trochę dłużej operował jamę brzuszną, ale nie zajmowało mu to więcej niż pięć minut.

Bogumił spojrział z podziwem. Istotnie było to nie lada osiągnięcie.

– Ty również operujesz? – spytał Bogumił kolegę.

Leopold westchnął i pokręcił przecząco głową.

– Jestem jedynie miejskim lekarzem od wszystkiego. Wzywają mnie do biedoty i czasem do mieszczaństwa, gdy sami nie mogą sobie poradzić z jakąś chorobą. Ojciec mój... Do lekarskiej elity drogę miałem zamkniętą. Mogę jedynie uczestniczyć w pokazowych sekcjach „dziadka”, mając nadzieję, że kiedyś dostąpię zaszczytu i znajdę się może nie w jego zespole, ale w podobnej grupie naukowców. Tymczasem czytam, czytam i jeszcze raz czytam.

– Poldek jest bardzo skromny – powiedziała szybko jego matka, a on znów zrobił się czerwony niczym pomidor. – Jest wspaiałym lekarzem, moją dumą... A interesują go zarazy, proszę sobie wyobrazić.

Po czym wybuchnęła perlistym śmiechem i zaczęła opowiadać o wędrówkach swojego jedynaka po biednych krakowskich dzielnicach i pobieraniu przez niego do badań różnych obrzydliwości, spośród których plwocina była najmniej odrażająca. Wypowiadała przy tym słowa nieprzystające damie z taką lekkością, że i Bogumił, i Leopold śmiali się, jakby serwowała im najlepsze

żarty. Bogumił wpatrywał się w nią jak urzeczony. Karolina roz-
taczała wokół siebie aurę dawnej inteligencji, haftowanych ob-
rusów i starki pitej na wielkie okazje. Leopold wydawał się nie
pasować do tego mieszkania, pełnego książek i bibelotów. Było
widać jednak, że matkę i syna łączyła silna więź.

– Proszę sobie wyobrazić, że Poldek sporządza mapy tych
swoich zakazań. Zaznacza całe ulice, poszczególne domy, ba, na-
wet studnie, i rysuje, jak choroba się przemieszcza. Nazywa to
wędrówką zarazy. Równie dobrze mógłby szukać wiatru w polu –
dodała, po czym położyła piękną dłoń o długich palcach na ra-
mieniu syna.

Bogumił nigdy się nie zastanawiał nad zarazami ani ich wę-
drówką. Każdy rozsądny człowiek, także lekarz, trzymał się od
nich z daleka.

– Zakażenia naprawdę wędrują. – Leopold sięgnął po jeszcze
jedno makagigi. – Chciałbym tylko dowiedzieć się, co tak na-
prawdę...

– Mnie ogromnie zajmują gorączka połogowa i teoria mia-
zmatów. Korespondowałem w tej materii z doktorem Michaeli-
sem... – przerwał mu Bogumił, bo nie chciał, żeby wyszło na to,
że on nie ma żadnych specjalnych zainteresowań.

Leopold złapał się za serce i wyszeptał z przejęciem:

– O! Ja pisałem do Ludwika Pasteura, ale nigdy mi nie odpisał..

– Słyszałem o jego badaniach, ale Pasteur nie jest lekarzem –
odpowiedział Bogumił.

– Owszem – zgodził się Leopold. – Jest chemikiem, ale uwa-
żam, że zrobi więcej dla ochrony przed zarazami niż lekarze.
Gdybym mógł z nim korespondować...

– Może nie dostał listu? – spytał przytomnie Bogumił. –
Pierwsze moje listy pisałem po łacinie i szczerze mówiąc, nie
dostałem ani jednej odpowiedzi. Dopiero kiedy napisałem po
angielsku.

– Ja pisałem do Pasteura po niemiecku – wtrącił Leopold. – Starą niemieczyzną. Pełną szacunku.

– Do niego trzeba pisać po francusku – pouczył go Bogumił, bo tak się składało, że miał wiedzę w tej materii. – A Michaelis odpisał mi chętnie, kiedy napisałem po angielsku. Poprosiłem kuzynkę, aby przetłumaczyła mój list na język Szekspira. Następne listy pisałem już tylko po angielsku, a on za każdym razem mi odpisywał. Nakreślił nawet, w jaki sposób skonstruował ów przyrząd...

– Masz na myśli urządzenie Michaelisa? – Leopold pochłaniał makagigi, wpatrując się w Bogumiła z podziwem.

– Dokładnie to – odpowiedział Bogumił. – Skonstruowałem je przy pomocy... kogoś z rodziny i bardzo chciałbym, aby służył naszym położnicom, ale...

– ...ale tacy jak „dziadek” uważają, że cięcia są wprawdzie korzystne, ale kobieta ma rodzić w bólach, a *sectio cesarea* jest herezją.

– U was w Krakowie nie da się rozwinąć tego tematu? Pod carskimi rządami niewiele możemy...

Leopold sięgnął po kolejną porcję miodowego deseru, ale widząc, że to ostatnia, zawstydział się i cofnął rękę. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wytarł w nią palce, a następnie ubrudzone miodem wąsy.

– Różnie bywa... – odparł zdawkowo. Na chwilę zapadła niezręczna cisza i z kuchni dobiegło trzaskanie garnkami. Pani Karolina i Leopold zapewne byli do tego przyzwyczajeni, bo żadne nawet nie zwróciło na to uwagi.

– Pisałem także do Horace’a Wellsa, jestem zainteresowany eterem i jego zastosowaniem – ciągnął Bogumił – ale jak się okazało, uczyniłem to już po jego przedwczesnej, jakże tragicznej śmierci. Nie został zrozumiany w swojej ojczyźnie, a co dopiero u nas.

– Światło i gotowość do zmiany... – powiedział Leopold, kiwając głową. – Tego nam w Polsce brakuje. Rozprawiamy o kolejnym powstaniu, świątli synowie opuszczają nasz kraj, a ci, którzy zostają...

Bogumił wiedział, co Leopold ma na myśli, i zgadzał się z nim. Podczas gdy czekali na wolność i niepodległość, nie powinni zapominać, że żyją dzieci, które należy wykarmić i wykształcić, pacjenci, których trzeba wyleczyć. Irlandczycy i Szkoci dążą do niepodległości, a jednocześnie nie przestają pracować u podstaw. To tylko w Polsce ludzie rwą się do bohaterskiej śmierci zamiast do ochrony życia i zdrowia.

– Dlatego tutaj przyjechałem, by o eter...

Zaległa cisza. Każdy z mężczyzn zastanawiał się, ile jeszcze może powiedzieć i czy przypadkiem to spotkanie nie zamieni się w pełną pasji dyskusję o polityce i medycynie.

– Tak na was patrzę i sobie myślę, że moglibyście zjednoczyć siły w obliczu twoich, Poldeczku, zaraz i pańskich, panie Bogumile, położnic... – powiedziała w końcu pani Karolina lekkim tonem.

Bogumił pomyślał, że matka Leopolda ma rację. Tego właśnie mu brakowało. W towarzystwie znanych mu lekarzy czuł się obco. Przybyłscy mieli niezwykle konserwatywne poglądy. Jedynie Gracjan wydawał się go rozumieć, ale on sam aż tak bardzo nie pasjonował się medycyną. Wystarczały mu bogate mieszczki, które leczył z palpacji, i ich mężowie, którym przecinał czyraki albo doradzał nasiadówki na guzki krwawnicze. Bogumił chciał się uczyć, kształcić i odkrywać. Uważał, że współpraca z nieciekawym z pozoru Leopoldem dobrze by się układała. Mogliby korespondować, wymieniać się doświadczeniami, wreszcie Leopold mógłby mu pomagać w tłumaczeniu listów. Teraz był skazany na pomoc wyniosłej Augusty, siostry swojej żony. Odkąd skończył studia, nie miał już kontaktu z dawnymi profesorami. Zresztą po tym, co się stało w Wilnie, wolałby, aby o nim zapomnieli.

– Bardzo bym chciał, tylko ja mieszkam w Warszawie, Leopold w Krakowie... Pozostają listy...

– I częstsze odwiedziny. – Karolina uśmiechnęła się. – Zapraszamy. Może pan zechce pozostać u nas dłużej? Choćby na noc? Powrót do Warszawy po nocy... Stanowczo odradzam.

Bogumił zrobił się czerwony jak burak, kiedy sobie przypomniał swoją wcześniejszą myśl, że Leopold jest jakimś mordercą. Tymczasem spotkał się z niespotykaną na co dzień serdecznością i zyskał jeśli nie przyjaciela, to na pewno towarzysza w lekarskiej sztuce.

– Dziękuję, ale muszę bezzwłocznie wracać do domu – odparł grzecznie.

– Proszę się zastanowić – zachęcała Karolina. – Zapraszamy. Bogumił poczuł się nieco niezręcznie, bo nie wiedział, czy wyznać, co rzeczywiście gnało go z powrotem do domu. Leopold wyczuł jego wahanie.

– Mateńko – Leopold stanowczo odsunął talerz z makagigami, a milcząca Józefa wyrosła jak spod ziemi i zabrała naczynie – nie zawstydzaj naszego gościa. Przywiodłem go tu wprost z jednego z wykładów „dziadka”, ale zaraz po rozmowie z profesorem Bogumił wraca do Warszawy, gdzie prowadzi praktykę. Oczywiście zawsze jesteś, drogi kolego, mile u nas widziany. Dotychczas nigdy mi się nie zdarzyło, abym z kimś nawiązał tak przyjemną rozmowę i, co tu dużo mówić, więź zawodową...

– Moja żona jest tuż przed rozwiązaniem – dodał Bogumił, czerwieniąc się jeszcze bardziej. Nie wiedział, jak ująć w słowa chęć nawiązania współpracy z Leopoldem i rozpoczęcia korespondencji.

– Och! – Karolina klasnęła w ręce. – Oczywiście, to zmienia postać rzeczy! Jakież to cudowne, kiedy rodzą się dzieci. Czy to pana pierwsze?

– Ależ nie, łaskawa pani. – Roześmiał się. – Mam już dwie córki i marzę o synu. Chciałbym, aby odziedziczył praktykę lekarską... Wiadomo jednak, że to Pan Bóg decyduje... Najważniejsze, aby dziecko urodziło się zdrowe.

– A co pana przywiodło do Krakowa w takim świętym czasie? Pragnienie wiedzy?

– Chciałem zapytać profesora o dwie rzeczy – wyznał całkiem szczerze. – Czy nie mógłby polecić mnie w Warszawie swojemu znajomemu oraz czy jest możliwe, abym ulżył żonie, kiedy nadejdzie czas.

– W jakiz to sposób? – zdumiał się Leopold.

Bogumił streścił mu to, czego się dowiedział o zastosowaniu eteru przy porodzie.

– Moja żona jest anielską istotą – wyznał. – Dobra, kochająca i skromna... Mam piękne córki... Za każdym razem, kiedy przychodzi czas rozwiązania, obawiam się, że moja kochana Domiela nie przeżyje.

– Dlaczego? – spytała matka Leopolda, uprzednio odchrząknąwszy.

Bogumił westchnął i zaczął wyjaśniać.

– Ma wąską miednicę, a dziecinę trzeba wypychać siłą... Po pierwszym razie sądziłem, że kolejne dzieci urodzą się łatwiej... Cóż, nie miałem racji. Nie mogę patrzeć, jak moja ukochana się męczy i raz za razem traci świadomość.

– Uważasz, że eter pomoże?

Nie miał co do tego pewności. Metoda była nowatorska, sam jej autor spotykał się z krytyką na każdym kroku.

– Korespondowałem z profesorem Simpsonem z Edynburga – odpowiedział. – Przekazał mi jedynie, że napotkał wielki opór ze strony duchowieństwa. Nie może wprowadzić powszechnego znieczulenia przy porodach, gdyż zarzucane mu jest odstępstwo od wiary.

– „W bólach będziesz rodziła...” – Karolina Teraz-Zawisza pokiwała głową.

– Właśnie – przytaknął smutno Bogumił. – Tak Bóg pokarał kobietę za grzech pierworodny. Musi cierpieć, zanim wyda na świat potomstwo. Takie jest boskie prawo.

– I ludzkie – dodał Leopold. – Słyszeliśmy dziś „dziadka”, który zrugwał tamtego biedaka za sam pomysł ulżenia kobiecie w jej cierpieniu.

Leopold opowiedział matce o incydencie z wyrzuconym z wykładu studentem. Bogumił wyjął zegarek, pamiątkę po ojcu ciotki dobrodziejki, z kieszeni surduta i otworzył złote wieczko.

– Jest już późno – powiedział, wstając. – Było mi niezmiernie miło państwa poznać.

– Odprowadzę cię, Bogumile. – Leopold także wstał. – Nie wiem, czy o tej porze uda się znaleźć dorożkę, ale znam pewien skrót, dzięki któremu szybko dotrzesz do celu. Życzę ci, abyś pomyślnie przeprowadził tę ważną rozmowę.



Berneński już na niego czekał i jak to miał w zwyczaju, natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Zastanowiłem się nad pańską prośbą i chociaż była nieoczekiwana, doszedłem do wniosku, że dam panu list polecający.

Bogumił zaczął gorąco dziękować, ale profesor mu przerwał.

– Już napisałem rekomendację, ale otrzyma ją pan pod pewnymi warunkami. Musi pan też o czymś wiedzieć...

Profesor westchnął i zaczął nerwowo krążyć po swoim gabinecie. Rozległo się pukanie do drzwi i po zaproszeniu profesora do pokoju weszła niska, skromnie ubrana kobieta, która przyniosła na tacy dwie filiżanki herbaty. „Mój Boże”, pomyślał Bogumił, „ileż ja tych herbat dzisiaj muszę wypić! Czy moje biedne

nerki to wytrzymają?” Sięgnął jednak grzecznie po filiżankę, czekając, aż Berneński wyjawi swoje wątpliwości.

– Wielce się różnimy z moim warszawskim kolegą. Ja uważam, że medycyna jest sztuką, a lekarz artystą. On sądzi, że medycyna to tylko rzemiosło, a my jesteśmy zaledwie kowalami ludzkich kości i szewcami mięśni i naczyń. Wprawdzie ceni sobie wiedzę tradycyjną, przekazaną nam jeszcze przez uczonych Greków, ale ciągle poszukuje nowych rozwiązań, zamiast doskonalić to, do czego został powołany. Wreszcie... Osobiście uważam, że kobiety mogą być jedynie pacjentkami, a on dopuszcza je także do posługi pielęgniarskiej przy chorych. Sprzeciwiam się temu, nawet gdy są to osoby duchowne. Proszę mnie dobrze zrozumieć: zakonnice mogą prowadzić sierocińce i modlić się w klasztorach, ale żeby dotykały chorych? Niepodobna.

Bogumił słuchał w milczeniu, analizując zarzuty, które właśnie usłyszał.

– Dlaczego chce pan zostać asystentem Alberta Tyczyńskiego? – spytał nagle Berneński. – Proszę dobrze zastanowić się nad odpowiedzią.

Bogumił zawahał się. Powiedzieć prawdę obcemu człowiekowi? Cóż z tej szczerości może wyniknąć? Co, jeśli profesor potraktuje go jak impertynenta, którym w istocie był, i wyrzuci z gabinetu? Nie mógł jednak przypuszczać, że Bogumił zamienił carskie ruble na cesarskie guldeny, wyrobił dokumenty potrzebne do przekroczenia granicy i zdobył stosowne pozwolenia tylko po to, aby zobaczyć sekcję zwłok. No i sam mówił, że list polecający już trzyma w ręku.

Bogumił postanowił zagrać *va banque*.

– Jak już mówiłem, pochodzę z nizin społecznych – zaczął. – Cud sprawił, że po śmierci ojca i rodzeństwa odnalazła mnie ciotka, która choć nie była wielce majątna, posiadała wystarczająco dużo środków, abym mógł ukończyć szkołę medyczną. Wspomi-

nałem też, że matka umarła przy porodzie wraz z moim bratem lub siostrą. Ojciec pojechał po doktora, bo położna nie potrafiła pomóc, ale ten odmówił przyjazdu, argumentując, że widocznie tak chciał dobry Bóg...

Profesor słuchał, nie przerywając. Bogumił nagle poczuł się żałośnie. Ileż to takich łzawych historii musiał wysłuchać Berneński przez lata swojej kariery lekarskiej?

– Skończyłem studia, zacząłem praktykę, a ponadto spotkałem piękną pannę z szanowanej rodziny. Dziś jest moją żoną. Niestety to, co robię, nie jest... godne. Posiadam skromną praktykę przy alei Jerozolimskiej. Podróżuję dorożką z ulicy Niecałej, gdzie mieszkam, i przez kilka godzin czuję się apatyczny i bezużyteczny. Moje porady ograniczają się do przepisywania soli trzeźwiących młodym damom i soli bromu starym damom... Dłużej tego nie zniosę. Chcę być uczniem Hippokratesa, a nie jedynie jego bękartem...

Berneński milczał. Bogumił dałby dużo, żeby móc przeczytać, co zostało napisane w liście. Wreszcie profesor oderwał wzrok od własnego, starannie wykaligrafowanego pisma i powiedział powoli:

– Nigdy nie spotkałem równie szczerzej osoby. Zwróciłem uwagę na pana swego rodzaju bezczelność. Trzeba panu wiedzieć, że lekarze przychodzą miesiącami na moje sekcje pokazowe i nie ośmielają się zabrać głosu podczas wykładu. Pan dwukrotnie się wypowiedział, chociaż muszę przyznać, że pytania były zasadne. Ponadto po sekcji podszedł pan jako pierwszy i od razu rzucił pytanie o eter, tę... substancję, która w medycynie może uczynić więcej złego niż dobrego. Mam wątpliwości, ilekroć słyszę, że pacjent usypiany jest do operacji. A pan pyta o możliwość użycia tej substancji przy porodzie?

Bogumił spuścił głowę. Trzeba było od razu wracać do Warszawy, a nie czekać na spotkanie przy herbatce, które miało skończyć się wysydzieniem jego osoby.

– A kiedy pan na moich oczach wrzucił do puszkę dwa srebrne guldeny... Czy to była próba przekupstwa?

Bogumił pokręcił przecząco głową.

– Jak mówiłem, sam jestem sierotą. Doświadczyłem głodu i zimna. Te guldeny to dla mnie wiele. Proszę mi wierzyć... To moja żona posiada majątek, nie ja.

Berneński znów wbił wzrok w biurko, za którym siedział. Herbata w jego filiżance już zapewne wystygła. Bogumił nie wiedział, co ma zrobić ze swoją filiżanką, dopił więc szybko zaledwie letni, niezbyt smaczny płyn i odłożył spodeczek na biedermeierowski stolik.

– Dobrze... – Profesor uniósł nagle głowę. – Nie przedłużajmy. Choć widzę w panu orędownika wszystkiego, co w przyszłości może zniszczyć nasz szlachetny zawód, dam panu list polecający do Tyczyńskiego. Pasujecie do siebie.

Bogumił rozpląnął się w podziękowaniach, ale Berneński powstrzymał jego słowotok gestem.

– Zanim zaczniesz pan dziękować, przemyśl to raz jeszcze. Będzie pan gryzł ściany i tłukł w nie głową, gdyż Tyczyński wymaga wiedzy równej jego własnej od każdego asystenta. Ponadto żąda, aby jego asystenci pracowali niemalże dzień i noc. Jeśli do tej pory jadałeś pan obiady w domu, teraz będziesz się cieszył, jeśli zdążysz na kolację. Czy nadal jest pan zdeterminowany, panie kolego?

Korzyński kiwał głową raz za razem.

– Cóż... Mimo wszystko uważam, że nadmierne dążenie do zrozumienia wszystkiego jest dla lekarza zgubne. Są prawa bożskie, którym powinniśmy zaufać.

Bogumił próbował opanować podniecenie. Zostanie asystentem profesora Tyczyńskiego! Wreszcie będzie mógł spełnić swoje marzenia. Nie istniało dla niego nic ważniejszego niż medycyna.

– Dziękuję panu profesorowi... Nie pożałuje pan swojej decyzji... Okażę się godny...

Berneński machnął ręką, jakby odprawiał służbę, niezainteresowany już osobą Bogumiła. Korzyński stał chwilę ze wzrokiem wbitym w bibliotekę pełną książek, a następnie niezgrabnie się uklonił i mamrocząc wyrazy dozgonnej wdzięczności, wyszedł z gabinetu z listem w ręku. Nikt go nie odprowadził. Pod bramą Uniwersytetu Jagiellońskiego rozejrzał się i z ulgą dostrzegł fiakra. Wsiadł do pojazdu i kazał się zawieźć na stację kolejową.

– Szanowny pan opuszcza nasze cesarstwo? – spytał fiakier po niemiecku.

– Wracam do Warszawy – wyjaśnił niechętnie Bogumił. Podobna poufałość w jego mieście była nie do pomyslenia.

– A w Warszawie lepiej się żyje niż w grodzie Kraka? – dociekał fiakier już po polsku, poganiając konia.

– Byłem tu jedynie przejazdem – mruknął Korzyński, coraz bardziej niezadowolony.

Koń wyraźnie zwolnił i Bogumił wychylił się, żeby zobaczyć, dlaczego się zatrzymują.

– Pociąg mój odchodzi o dziewiętnastej – powiedział. – Wolałbym po nocy nie szukać noclegu...

Fiakier cmoknął kilka razy, a zwierzę ruszyło z kopyta.

– Zdąży szanowny pan, zdąży... A do czego to się szanowny pan tak spieszy, jeśli można spytać?

Bogumił nie odpowiedział od razu, zastanawiając się, czy nie pokazać impertynentowi z nizin społecznych, gdzie jego miejsce, ale nie zrobił tego. Przypomniawszy sobie, że jako dziecko marzył, żeby jego ojciec zarobił tyle pieniędzy, aby móc sobie kupić konia i nim powozić. Poza tym poprzysiągł samemu sobie, że nigdy nie zapomni o swoim pochodzeniu ani o tym, że swoją aktualną pozycję zawdzięcza jedynie ciotce Konstancji.

– Spieszę się do rodziny – powiedział w końcu. – Moja żona jest przy nadziei.

– A to wieszę szanownemu panu. – Dojechali na miejsce i fiakier zeskoczył z kozła. – Sam mam siedmiu urwipolciów.

– Ja mam dwie córki. – Bogumił wreszcie się uśmiechnął. – Liczę, że teraz doczekam się syna.

Najwyraźniej ludzie w cesarstwie byli bardziej przyjaźni niż w Królestwie. Pewnie dlatego, że niewola lżejsza.

– Czego szanownemu panu najserdeczniej życzę. – Fiakier uklonił się, zdjąwszy kapelusz. – Z synami wiele kłopotu, ale jak ich dobrze wychować, to i pociecha będzie, bo pomogą w pracy. Córki to... może radości więcej.

Mężczyzna sięgnął po kufer Bogumiła. Światło z latarni padło na jego twarz. Na zuchwie miał brzydką narośl, jedna połowa twarzy była zniekształcona.

– Co wam się stało? – zagadnął, płacząc fiakrowi dwadzieścia groszy więcej, niż ten żądał.

– Z rok temu wyrosło – mruknął niechętnie. – Ale jeść nie woła... Może nie zabije. Wszystkiego dobrego dla szanownego pana i małżonki. Córki niech Pan Bóg błogosławi...

Bogumił usłyszał gwizd parowozu i pogratulował sobie w duchu, że zdążył na pociąg. Zostawił fiakra, nie zastanawiając się dłużej, co takiego mu wyrosło na twarzy. Dopiero w pociągu, kiedy już przestał myśleć o Domiceli i swoich córeczkach, uświadomił sobie, że o ludzkiej głowie wie niewiele, bo nigdy jej podczas sekcji nie badał.

„To będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię u Tyczyńskiego”, postanowił, a potem pomyślał, że zajdzie daleko i zagra na nosie Przybylskim, którzy go mieli za nic. „Szykuje się wspaniały czas, pełen radości – a kto wie, czy nie okraszony zemstą”, zakołatało mu w zmęczonej głowie. Gdy tylko pociąg ruszył, Bogumił zaśnął z nadmiaru wrażeń.

Bogumił Korzyński rozpoczyna pracę w warszawskim Szpitalu Dzieciątka Jezus.

Jest rok 1850. Siedem lat wcześniej świat odrzuca Horacego Wellsa i jego wynalazek – znieczulający eter – doprowadzając nieszczęsnego dentystę do szaleństwa i samobójczej śmierci. W tym samym roku pod kołami pociągu ginie Gustav Michaelis, bezskutecznie próbujący wprowadzić zasady aseptyki na sale porodowe. Szpital połowy XIX wieku wciąż sphywa ropą, krwią i brudem, a najlepszym chirurgiem jest ten, który potrafi w jak najkrótszym czasie wykonać operację i nie zabić przy tym pacjenta.

Bogumił pragnie zostać ginekologiem i tym samym pomóc kobietom takim jak jego żona, która kolejny poród niemalże przypląca życiem. Jednocześnie doktor zmaga się z własnymi demonami i przeszłością, o której ani żona, ani jej powszechnie szanowana rodzina lekarska nie mają pojęcia.

W codziennej praktyce i korespondencji ze światowymi autorytetami medycznymi towarzyszy mu zafascynowana medycyną i znająca języki szwagierka Augusta, która marzy, żeby zostać lekarką. Tymczasem zawód ten jest zarezerwowany wyłącznie dla mężczyzn. Kobiety nie mają wstępu na uniwersytety.

Nobliwa kadra medyczna jest niechętna wszelkim reformom. Augusta znajduje jednak sposób, żeby wdrzeć się do zamkniętego dla kobiet grona uczniów Hippokratesa...

W POWIEŚCI PRAWDZIWE ODKRYCIA ŚWIATOWEJ MEDYCYNY
PRZEPLATAJĄ SIĘ Z OSOBISTĄ HISTORIĄ RODZINĄ BOHATERÓW,
CO POKAZUJE TRUDNOŚCI, PRZED JAKIMI STAWALI
POLSCY LEKARZE W DRUGIEJ POŁOWIE XIX WIEKU.

www.marginesy.com.pl



9 788366 500631

cena 44,90 zł

PATRONAT MEDYCALNY



lubimyczytać.pl

granice.pl
czytanie w Rozbudzie

FACEBOOK.COM/
HISTORIA
NA OBCASACH

w sprzedaży także

eBOOK